

Teksty Drugie 1992, 4, s. 143-154



Fides, Spes, Caritas

Stefan Treugutt

nawet się zbanalizowała. W każdym razie uchodzi za raczej trzeźwą ocenę układu sił oraz faktycznych stosunków między podmiotem a językiem.

Wartość publikowanych tu tekstów Nowaczyńskiego i Brzozowskiego — prócz ich walorów merytorycznych — leży właśnie w tym, jak sędzę, że dają asumpt do takich metakrytycznych rozważań.

Ryszard Nycz

W rękopisach Stefana Treugutta zachował się tekst referatu wygłoszonego 3 grudnia 1973 na poświęconej Berentowi sesji Instytutu Badań Literackich. Oglaszamy na podstawie brulionu autora.

Fides, Spes, Caritas

Przyjezdny z Krakowa profesor, „wielki brodac” świecący szkłem okularów, inwektywuje zebranych w salonie warszawskim ludzi z towarzystwa, surowo i karcąco mówi do gospodyni tego szumiącego światowością zgromadzenia:

— Pani — zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzn z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?” Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

I na to zgorszonymu pani domu odpowiada pytaniem:

— A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył, profesorze?!

Ten profesor z *Oziminy* był raczej moralistą niż historykiem. Bo na jakich to salonach i kiedy konwersowano wedle kryteriów tak surowych? A sytuację sprzed niemal wieku w porównaniu do czasu akcji powieści sam Berent charakteryzował całkiem odmiennie od krakowskiego laudatora minionego obyczaju:

Po lichu zawsze odzianych, a tak żarliwie garnących się do wiedzy oficerach legionowych z drobnej szlachty i mieszczań, nastali w kraju panicze, których po dworach wiejskich nie musnęło nawet wielkie przeobrażenie się psychiki narodowej po rozbiorach. Sprawą kapitalną dla nich stał się teraz mundurów kolor, strój i krój. A musiał ich mieć wtedy każdy oficer zasobniejszy niezliczoną ilość — od tak zwanych „mundurów małych”, przez uniformy od parady zwykłej i „wielkiej”, aż po „balowe”. [...] Wyniosłością najbardziej wtedy uprzywilejowanego stanu zarazili wojskowi francuscy swych kolegów polskich.

¹ W. Berent *Pisma*, Warszawa 1933–1934, t. 4: *Ozimina*, t. 1, s. 29.

Skojarzyło się to u nich z przedrozbiorową purchawkowością sampanów i odęło pod mundurem napoleońskim w pychę bez granic.²

Ukochanej w pamięci narodu armii Księstwa wytyka Berent karciarstwo i szulerkę, hulanki przypominające całkiem uczyte sejmikowe, to, że „niewygubny sarmatyzm szlacheckich, tłumiony dotychczas twardego kułakiem pruskim, święcił swe odzicie i wolność w pierwszej wtedy ostoi ładu — w wojsku. (...) Po obywatelach-żołnierzach i świątłych oficerach Legionów Dąbrowskiego, po na poły rewolucyjnej jeszcze żołnierze Kniaziewicza, hodować się poczęli w kraju militaryści”.³

I sarmackie sobiepaństwo — i militarystyczny dryll. Berent bije w „panniczków” i za brak, i za nadmiar karności, systematycznie demoluje nie tylko popularne, ale i wśród historyków zawodowych częste gloryfikowanie Księstwa i jego żołnierzy, demoluje legendę świetności napoleońskiej Polski. Tym łatwiej mu to idzie, iż gloryfikacji mało czulej na fakta historyczne przeciwstawia swą własną, amatorską wersję, a raczej: moralną wizję wydarzeń. Już wobec kilku cytowanych tu linii zgłosić należy sprzeciw. Warunki formowania się na obczyźnie formacji legionowych u boku armii Republiki Francuskiej przymierza Berent do sytuacji pospiesznego formowania wojsk na własnym terenie, w oparciu o ziemiańską strukturę ekonomiczną kraju — i w oparciu o Cesarstwo Francuskie. Tyleż tu analogii, co słuszności w zarzucie rozrzutnego zamiłowania do rozmaitych mundurów wśród oficerów Księstwa. To przecież regulowały przepisy, a że do nowo formowanych jednostek nabierano nowych oficerów, kierując się raczej dobrocią nazwisk niż wysługą lat... I że ci nowi wojskowi puszczały wodze fantazji i puszczały mamonę... Były francuskie regulaminy i francuscy „spece”, żeby dopilnować porządku w razie potrzeby — byli i legionowi „spece” — zaś kartograjstwo i birbanctwo oficerskie niechby Berent przyrównał nie do legionowej biedy, ale do wzorów, jakich dostarczała armia potężnego sprzymierzeńca; była tam — w obyczajach tej sojuszniczej wojskowości, gdy pojawiła się ona nad Wisłą — osobliwsza mieszanina beztroskiego omijania dyscypliny — *sans-façonizm* zgola republikański — z całkiem imperialnym neoarystokratyzmem — ale trudno by w tych wzorach naszego korpusu oficerskiego dopatrzeć się jakiejś analogii do sejmikowania czy ziemiańskiej sarmackości. Wskazując przecież na przejaszkawienia w moralistycznej historiozofii Berenta nie wypada z kolei samemu wpadać w jaskrawo pedantyczne ocenianie jego tekstów wedle stopnia ich historycznej ścisłości.

Nie idzie o gruntowanie wiedzy, jaką posiadał Berent na temat epoki

² W. Berent *Pisma*, t. 9: *Nurt*, t. 2, s. 283–284.

³ *Nurt*, t. 2, s. 285–286.

bardzo obszernie już w jego czasie opisanej, interpretowanej, dokumentowanej edycjami źródłowymi. Wiemy, że sięgał nawet do źródeł bardzo rzadkich, że i archiwalne inedita miewał w rękę — i chwala jego pilności, i nikt mu nie będzie wypominał drobnych erudycyjnych niedopatrzeń (inna sprawa, iż tych ostatnich dużo) — rzecz sprowadza się do wątpliwości innego rozmiaru: do pytania, na ile Berent — niezależnie od efektywnej wiedzy — posiadał wyobraźnię historyczną? Lucien Febvre powiada, iż naczelną kwalifikacją historyka jest umiejętność unikania anachronizmów w myśleniu o wydarzeniach, w ocenie wydarzeń; czy autor *Żywych kamieni* posiadał ową subtelną, trudną do wyuczenia, po części chyba wrodzoną, sztukę myślowego wchodzenia w obce, odległe od własnego układy? Popatrzmy na kilka przykładów, od całkiem drobnego poczynając.

Odnajdujemy u Berenta wśród analogicznych wskazówek do genealogii współczesnej inteligencji — przecież cała twórczość ostatnia Wacława Berenta to wypisy metrykalne z książek polskiej „klasy umysłowej” — odnajdujemy więc u Berenta piękną pochwałę zasług gdańskiego mieszczańskiego rodu Szulców. Jednym z potomków był Michał Szulc, architekt, profesor wileński. Berent z rozczuleniem wspomina nieudolność zawodową tego dyletanta (studiował teologię, filozofię, sztuki piękne, służył w wojsku), opowiadanie kulminuje tragicznie: oto zwycięski car Aleksander wraca w r. 1812 na Litwę, „w makabrycznym wtedy Wilnie — pisze Berent — gdzie siejąc zarazy wszelkie dogorywały tysiącami niedobitki Armii Wielkiej, odbyć się miał bal na cześć cara tryumfatora. W przecznej oddali od zakażonego miasta, gdzieś na wielce stromym i pięknym brzegu Wilii, zlecono Szulcowi zbudować czym prędzej pawilon wielki...” Dalej czytamy pokrótce, jak to Szulc ozdobił pawilon wewnątrz, i że w przeddzień przyjazdu cara cała budowla się zawaliła, że razem z częścią brzegu spadła do Wilii. „Poczuwszy nad sobą rękę Losu — zamyka sprawę Berent — skoczył za swym dziełem ostatnim architekt nieszczęśliwy.”⁴

Kiedy? W grudniu 1812 mrozy w Wilnie były wyjątkowo srogie, czytamy o tym w wielu setkach pamiętników we wszystkich ważniejszych językach europejskich, bo wymierali wówczas w Wilnie ludzie nacji rozlicznych. — Jakże w zamarznątej rzekę skoczył architekt Szulc? Gapiostwo pisarza, rzecz można, nie zapamiętał, iż sprawa z zawaleniem się budowli Szulca — a i jego skok samobójczy w wodę — miały miejsce w czerwcu 1812, 24 czerwca, w dwa dni po przekroczeniu Niemna przez awangardy Wielkiej Armii. Budowla — „une longue galerie couverte soutenue par des colonnes” — stała w Zakrecie, zawaliła się w dniu balu, konstruktor

⁴ W. Berent *Diogenes w kontuszu*, Warszawa [1937], s. 269–270.

zabił się z obawy przed odpowiedzialnością, cała zaś sprawa nie jest zupełnie jasna, gdy się zważy, iż prof. Szulc miał stać na czele studenckiego tajnego związku o nazwie „Bracia uciemienieni” — gdyby Berent tego nie przesłepił, o ileż bogaciej by mu wypadł biogram Szulca! — bał się odbyć z braku pawilonu pod gołym niebem, Aleksander w trakcie zabawy otrzymał wieść o przekroczeniu Niemna przez Francuzów, co zataił, by nie mącić uroczystości. Kilku akademików ze spiskowych przedarło się do Francuzów.⁵ Nie idzie o niedokładność informacji Berenta ani też o wpadkę meteorologiczną. Jakże jednak mógł on lokalizować dworski bal w trakcie działań wojennych w Wilnie pełnym chorych, maruderów i leżących na ulicy trupów... Równie to fantastyczne jak lokalizacja poza Wilnem w *ad hoc* budowanym przewiewnym pawilonie — w grudniu! Jakież brak wyobraźni na to chociażby, w jakim stanie — nie tak wiele lepszym od pokonanych — znajdowała się pościgowa armia rosyjska, a raczej jej resztki ocalałe od trudów wojny i zimy...

Gorzej, gdy podobny brak wyobraźni dyktuje zdania oceniające o charakterze ogólnym. Z racji kampanii 1809 nie może Berent odmówić ks. Józefowi Poniatowskiemu osobistej brawury — pod Raszynem — ale odmawia mu jakichkolwiek talentów wodza i polityka, sukcesy przypisuje jednoznacznie Dąbrowskiemu. A gdy twórcy Legionów właśnie z racji postawy w r. 1809 przyznaje „siłę (...) geniuszu i serca”, to do Poniatowskiego stosuje tylko drugą z tych kwalifikacji, a i to do Poniatowskiego po 1812, nie do wodza wyprawy galicyjskiej. „Oderwany nagle od zabaw i kobiet w Warszawie — czytamy w innym miejscu — sprężył się i wysrożył w mundurze ponad miarę — jak to bywa w takich razach.”⁶ Czy mundur ministra wojny Księstwa Warszawskiego był „nad miarę” generała lejtnanta wojsk wolnej Rzeczypospolitej i dowódcy polowego wojsk koronnych w wojnie 1792 r.! Wróćmy do r. 1809. Wielkie w kampanii tego roku zasługi i sukcesy wojskowe generała Dąbrowskiego i ich maksymalnie mocne podkreślenie przez autora *Nurtu* nie powinny jednak dawać okazji do pretensji zgoła żenujących pod adresem polskiego wodza naczelnego: że na północnym terenie działań, gdzie był Dąbrowski, wojna była krwawa, na południowym, galicyjskim panowała atmosfera „spaceru wojskowego” — no i cóż z tego? I czy wypada ubolewać, iż i w Galicji nie doszło do dziesiątkowania szczupłych sił wojskowych Księstwa? Przecież właśnie świetność manewru na Galicję, na tyły wroga zajmującego Warszawę polegała na tym, że tam dużych garnizonów austriackich nie było. No

⁵ B. Dundulis *Napoléon et la Lituanie en 1812*, Paris 1940, s. 99; Janusz Iwazkiewicz *Litwa w roku 1812*. Kraków 1912, s. 67.

⁶ *Nurt*, t. 2, s. 278.

i autorem tego planu, wedle Berenta oczywiście, jest tylko Dąbrowski. On to „na radzie wojennej w Zegrzu narzuci wszystkim swój plan”, a więc i spaceru w Galicję chyba też? *Unde ira...* Berent z całą pewnością twierdzi: „naoczna cała ta wojna (na ziemiach polskich przynajmniej) pokieruje nie kto inny, tylko on sam”.⁷ Dąbrowski. Że pisarz uznał za potrzebne nawiasowe wtrącenie „na ziemiach polskich przynajmniej”, to już jest dowodem hagiografii zgoła zawrotnej. Działania bojowe Dąbrowskiego nie miały w rzeczy samej dyrektywnego wpływu na wielkie bitwy na wyspach dunajskich i pod Wiedniem. Zajęcie tak dużych terenów austriackich przez ks. Józefa natomiast miało bardzo poważny wpływ — na przebieg rokowań pokojowych po pokonaniu Austrii.

I oto posłuchajmy cenzurki Berenta:

Książę Józef [...] kierując się niewczesnymi względami polityki, starał się stwarzać fakty dokonane przez zajmowanie jak największych obszarów.⁸

Niewczesna polityka! Dzięki niej Księstwo powiększyło dwukrotnie swój obszar. Stworzenie zaś faktu dokonanego, a to przez zajęcie Galicji w imieniu Napoleona (Poniatowski kazał na miejsce usuwanych gołęi austriackich zawieszac orły cesarskie, stąd oda Koźmiana na „zawieszenie orłów francuskich w Lublinie”) stworzyło kłopoty dyplomatyczne dla samego Cesarza, obudziło czujną nieufność sprzymierzonego wówczas z Napoleonem cara Aleksandra — powiększanie się Księstwa przybliżało groźbę utworzenia „napoleońskiej Polski”, tego zaś car bał się najbardziej ze wszystkiego — i oto dyplomatycznie „nietaktowne”, na własną rękę prowadzone działania armii Księstwa zakończyły się sukcesem wielkiej dla nas miary. Raz pierwszy i jedyny to nie Napoleon grał Polską, ale został przymuszony do zagrania w polskie karty. Berent o tym nie wiedział? nie mógł zrozumieć? Ba, to w ogóle leżało poza sferą jego zainteresowań, poza jego wyobraźnią. A jego wyobraźnia nie umiała się poruszać wśród zjawisk i danych realnej historii, nie była to wyobraźnia historyka, ale historiozofa, i to szczególnie uformowanego historiozofa, lepiej nawet rzec: mitografa. Mitografa inteligencji polskiej. Z tego punktu widzenia — a jest to punkt widzenia i autora *Fachowca*, i autora *Próchna*, ten punkt widzenia organizuje całość poczynań literackich Berenta — ks. Poniatowski nie stanowi genealogii właściwej i legalnej, generał Dąbrowski — tak. W antenackim sporze liczą się legendy już uformowane, wartości przypisywane przez świadomość zbiorową, historia

⁷ *Nurt*, t. 2, s. 296.

⁸ *Nurt*, t. 2, s. 297.

realna jest ledwie materiałem wyjściowym dla konstruktów ideograficznych, i to tylko tam, gdzie się akurat zgadza z owym konstruktem. Wspaniała działalność militarna i organizatorska Dąbrowskiego w r. 1809 była „na linii” Berentowej koncepcji, sukcesy polityczne i militarne wodza naczelnego — nie. Stąd nikła wrażliwość Berenta na znane mu fakty, stąd brak umiejętności — i chęci! — historiograficznych, stąd anachronizmy w historycznym myśleniu.

Jakże inaczej porusza się Berent na terenie sobie właściwym, gdy interpretuje, chociażby z dużym krytycyzmem, materię mitów, gdy zagląda pod podszewkę tradycjom legendowym. A więc: książę Józef. Wielkość serca okazał po 1812, w ostatnich miesiącach życia. Poszedł „za głosem wszystkich instynktów swego rycerstwa i godności narodowej”. Co dało, jak słusznie rozumie to Berent, początek legendzie już nie tylko rodzimej:

Porzucił też po sobie nową w Europie legendę o Rolandzie. Ludowi zaś francuskiemu przekaże — po Dąbrowskiego zapomnianych już walkach w obronie Republiki — bardziej tam pamiętne m e m e n t o: jak to przeznaczenia Francji kojarzą się nieuniknienie z losom Polski. Stanie się tej łączności symbolem nieledwie.

I na taką, symbolicznie zinternacjonalizowaną, wersję legendową Księcia Berent, jak widać, godzi się chętnie. Prześmieje co innego, co go w tym wszystkim żywtownie zajmuje — legendę rodzimą:

W legendzie swojskiej natomiast spoczciwiej dość obrazkowo: jako wcielenie „udałości polskiej” — wraz z jej nieodłącznymi wtedy atrybutami: czapką hulańską na bakier i baczkami pod nią. W najosobliwszym przeciwieństwie do tej ikony narodowej uwieczniło go dluo cudzoziemca szablonem klasycyzmu: zapożyczoną postacią Marka Aureliusza na koniu kapitolijnim — figurą na placu. Historia dopiero, i to dni naszych zaledwie, wystawiła mu pomnik godniejszy — nad francuskie rapsody o wiernym wasalu, nad legendę u nas obrazkową i nad cudzoziemski spiż.⁹

Już to Berent nie lubił — programowo — klasycyzmu. Nie zechciał zauważyć świetności dzieła Thorvaldsena, w innym miejscu swych eskursji w przeszłość okaże zupełną, umyślną głuchotę na wiersze Kajetana Koźmiana — równie mało mu odpowiadał tradycyjny narodowy pop-art w epinalskiej, obrazkowej wersji. W zdaniach przecież o „udałości polskiej” Księcia, o francuskim wasalstwie i narodowej ikonie jest najlepszy Berent — jego styl, jego demaskatorstwo obraźliwe, poniżające („ikoną” Książę, jakby *modo russo*, wedle ulubionego idiomu Berenta, do patronów i świętych zaszeregowany), jest ten Berent protestujący w obliczu sztampy, nieżywych ideologii, półprawd i prawd nieżywych. Zdanie o hulaństwie Księcia z ikony pisał tym samym piórem,

⁹ Nurt, t. 2, s. 299–300.

co przed laty, gdy pod górnobrzmiącym słowem narodowej elity umysłowej wykrywał pustkę, słabiznę, modernistyczne nerwy zamiast uczuć:

Wóz życia ugrzązł w piachach, a duszom karm w istocie wciąż tenże: sprzed wieka! I jedno wciąż źródło sił idealnych, które ma ich w aniołów zamieniać — w aniołów ruchu i ofiary. [...] W sentymentalnej wrażliwości wyobraźni egzaltowanych pokutują wciąż jeszcze wszystkie upiory i widma romantyzmu...¹⁰

Berenta w ogóle nie interesuje historia w swym niegdyś przebiegu autentycznym, a to, co nazywa on „*bios historii*”¹¹, charakteryzując swą postawę w tzw. opowieściach biograficznych, to najdalsze jakiegś biologicznej naturalistyczności w odtwarzaniu dziejów — to raczej życie „duszy gromadom ludzkim wspólnej”.¹² Życie wspólne synchronicznie — ale i diachronicznie określonej grupie. Dla Berenta taką wspólnotą jest oczywiście naród polski rozumiany jako wspólnota tradycji i świadomości. Prezentacją zaś takiej wspólnoty — bynajmniej nie symboliczną, ale realną prezentacją — jest inteligencja, rozumiana, rzecz jasna, nie w kategoriach socjologicznych czy też wąsko profesjonalnych, ale w kategoriach ideowo-emocjonalnych; inteligencja polska to ci, którzy mają jasną świadomość „duszy wspólnej”, poczucie historyczności, ciągłości, współczesnej odpowiedzialności za dziedzictwo. Badacz własnego drzewa genealogicznego jest pogrążony w historii, ale nie jest historykiem — taki właśnie jest Berent, opowiadacz biografii przykładowych, poszukiwacz wzorcowych przodków dla polskiego inteligenta. Mieszkański Plutarch niepodległej ojczyzny. Z jakąż pasją pokazywał współrodakom, kim są, skąd się biorą, czego powinni się trzymać w tradycji. Że mają papiery szlacheckich szaraczków, wypartych ze wsi, wędrujących do miasta, jak Podlasiąnin Jezierski (biogram Franciszka Salezego Jezierskiego jest finezyjnie wycieniowany, tak by jego pierwowzór mógł zająć miejsce w galerii wielkich przodków) — albo że wiodą się od mężów twardej mieszczkańskiej cnoty i wielkiej miłości ojczyzny, jak Jan Dekert, że z kościuszkowskiej insurekcji i z Legii włoskich się wiodą, a nie z lekkokonnego pułku gwardii obcego Cesarza — istotna tradycja, nawiązująca do najdalszej przeszłości, zapowiadająca romantyzm i przyszłość, to nie wasalska epopea napoleońska, ale chłopci i obywatele oficerowie z Legii I i II. Stąd też u Berenta takie oto legendotwórstwo, wzruszające, pełne wiary w *bios*, ale i *ethos* historii:

Nawiało w uszy tłumów — mowa o mieszkańcach Rzymu po wkroczeniu tam pierwszej Legii pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem — że ten lud obcy pogromiono gdzieś na

¹⁰ *Ozimina*, t. 1, s. 191.

¹¹ *Nurt*, t. 1, s. 8.

¹² *Ozimina*, t. 2, s. 44.

Wschodzie, więc błąka się odtąd po świecie [...] Aż się [...] wyłoniła baśń — że oto naszły na miasto potomki rycerzy ostatniej wyprawy krzyżowej, co ponownie „p o g r o m i e n i o d M o n g o ł ó w” pragną tu w Rzymie obwołać krucjatę nową.

Te baśni „motłochu” [...] nie były tak bardzo chybione. Lud rzymski wyczuł — pierwszy! — tchnienie romantyzmu bijące wręcz od Legionów, czyniąc z nich nieledwie ostatnich rycerzy błędnych.¹³

Bios historii u Berenta to ma być żywa prawda „duszy wspólnej”, nie martwa litera historycznej ścisłości, z którą niczego nie podziałasz wobec realnych, współcześnie bijących źródeł świadomości. I nie w polemiki z historykami wchodził Waław Berent — miał wielką ambicję, by odwrócić, a przynajmniej po innemu regulować bieg owej współczesnej świadomości wspólnoty z przeszłością. Przeciw utrwalonej tradycji patriotyzmu szlacheckiego, ziemiańskiego, rodowego, kawalerskiego, romantycznego w wersji albo płaskiej, mistyfikatorskiej, albo tak wysokiej, mistyczno-mesjanicznej, że równie zmistyfikowanej... Inaczej chciał ustawić Berent wskaźniki i patriotyzmu, i przydatności sprawie wspólnej, jeżeli nawet kanon wartości całkiem się zruszyć nie dawał, to przynajmniej chciał go dopełnić, poszerzyć. Do kanonu poezji romantycznej dodać takich jak Karpiński, jak Niemcewicz, odróżniając ich od dworskiej martwoty sztuki stanisławowskiego klasycyzmu. Do rzędu pierwszych w narodzie przywrócić wielkie, ale odsunięte w „*logos* historii” nazwiska Kościuszki i Dąbrowskiego, dodać im na trzeciego Staszica.

Stoi przy tym wytrwałość narodów duchem swych przywódców wielkich, a Polska wtedy właśnie grzebała kolejno Kościuszkę, Dąbrowskiego, Staszica: — *Fides, Spes, Caritas* pokolenia porobiorowego.¹⁴

Wiara, Nadzieja, Miłość. Wypowiedział te słowa Berent w r. 1933, kończąc mowę na otwarciu Polskiej Akademii Literatury. Mowa ta jest mimowiedną autointerpretacją wszystkich opowieści biograficznych, jest stanowieniem drogowskazu z przeszłości w terażniejszość. Gdyby ktoś potrafił zastąpić nazwiska wielkich mężów nazwanych wedle trzech cnót teologicznych, a stanowiących wodzostwo ideowe pokolenia porobiorowego, nazwiskami lub symbolami nazwiskowymi równie doniosłymi dla Polski tego pokolenia, które przeżyło jak Berent odzyskanie niepodległości, ten by odnalazł nieomylną formułę interpretacyjną całej jego późnej twórczości. (Gdyby takich nazwisk współczesnych w kontynuacji przodków zabrakło u Berenta — to by było jeszcze bardziej ważne świadectwo.) W każdym razie do wartości przez tamtych trzech wywołanych, do tak sformułowanej zasady narodowego przywództwa — dziejów nie „króla”, ale „obywatela-ducha” — należeć by musiały

¹³ *Nurt*, t. 2, s. 69.

¹⁴ W. Berent *Onegdaj*, Warszawa 1933, s. 50.

obok trzech cnót teologicznych także cztery cnoty kardynalne: roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie i męstwo. Wedle jakiej z kolei współczesnej formuły mitu inteligenckiego szukałby Berent wzorów, ideałów i postaw godnych wielkiego dziedzictwa? Nie zapisał tego, ile wiem, wyraźnie. Ale jest pewna poszlaka. W mowie na otwarciu PAL ubolewał, iż ani Dąbrowski, ani Staszic nie mają w Warszawie pomnika. Jednak

jak obaj utrudzali się sami za wszystkich, sporni po tylekroć całej opinii warszawskiej, tak też sami wystawili sobie pomnik, i to w sercu stolicy: stanęli dwiema oporowymi kolumnami „Pałacu Kultury Polskiej” — za Kopernikiem w Warszawie.¹⁵

Tu i jesteśmy.¹⁶ Kopernik, Staszic — a cóż w tym gronie robi generał wychowany w Dreźnie, wsławiony we Włoszech? Czy z racji obrony Warszawy w r. 1794 stanął w szeregu genealogicznym inteligencji, ludzi miejskich? Nie tylko. Raz jako erudyta i zbieracz namiętny, który swe przebogate materiały przekazał Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Po wtóre za to, iż w Legiach założył instytut, że kształcił oficerów i gemajnow legionowych, że w ślad za Komisją Edukacji Narodowej pierwszy tak dbał o obywatelską edukację wojska narodowego. A także z tej wielkiej racji ideowej, iż Berent, konstytuując nowy ciąg tradycji, nie miał bynajmniej zamiaru zastępować legendy ziemiańsko-patriotycznej i romantycznej — więc legendy wojskowej, powstańczej, ułańskiej — jakimś mdłym surogatem organicznej skrętności, pacyfizmu ugodowego, rozsądnego. Skądże, jego nowe odczytanie narodowej „duszy wspólnej” miało za sobą i Naczelnika narodu — cywilnego i wojskowego — i generała, który z szablą w ręku dobijał się straconej niepodległości państwowej. Berentowski „stan trzeci”, Polska ani dworska, ani chłopska, Polska umysłów świątłych i ludzi mądrej pracy, też miała swoich świętych, męczenników, „uporczywców wielkich”, jak nazwie Berent i Dąbrowskiego, i Jezierskiego, i Staszica... Właściwie to tylko tacy „uporczywcy” sprawy narodowej, ludzie, którzy zdecydowali się świadomie na robotę dla Polski — którym ona sama nie zleciała razem z nazwiskiem historycznym, herbem i pańską, lekkomyślną fanaberią — tacy tylko mają dobre miejsce w Berentowym Panteonie. I dlatego tak doskonałym bohaterem tej Polski „trzeciej” zdał mu się generał Jan Henryk Dąbrowski. Bo miał tu na raz i tradycję szlachecką, ale już odsuniętą od ziemiaństwa żołnierskim profesjonalizmem, i poważne traktowanie nauk, kultury umysłowej, bo to przecież o nim napisał uczony Johann Gottfried Seume: „Er ist einer

¹⁵ *Onegdaj*, s. 53.

¹⁶ Referat wygłaszany w Pałacu Staszica — przyp. red.

von den heutigen Generalen, die die meiste Wissenschaft ihres Fachs haben; und Du findest bei ihm Bücher und Karten, die Du vielleicht an vielen anderen Orten vergebens suchst".¹⁷ No i to — ostatnie, ale nie najmniejsze — że tej swojej polskości musiał się Dąbrowski dobijać, że ją musiał potwierdzać i jej dowodzić, przebijając się przez domową niemczyznę. Na taką polskość z zasługi, na asymilacyjną siłę dawnej Polski był Berent specjalnie uczulony. I być inaczej nie mogło, jeżeli szukał oporu i fundamentu w Polsce „trzeciego stanu”; z niekłamany wzniesieniem pisze o tych Polakach w Legionach, którzy ani polskich nazwisk nie mieli, a i polskiego czasem uczyli się dopiero:

Pewien nalot obcej mowy i obyczaju wnosili [...] liczni oficerowie z mieszczaństwa Warszawy i miast prowincjonalnych, te Bauery, Schuberty, Müllery, Billingi, Junge, Lange, Kuntzel, Reinhold, Möller, Schultz, Sand itd., warszawiaczy szkockiego pochodzenia, jak Stuart, Roos. Hoppen, Schott, wreszcie spolszczeni latyńcy, jak Chamand, Forestier, Tremo, Amira. [...]

Zastanawia znaczny odsetek tych oficerów legionowych o nazwiskach mieszczańsko-niemieckich lub latyńskich: to tłumne wtargnięcie w polskie życie publiczne stanu trzeciego nazajutrz po konstytucji 3 Maja i rewolucji warszawskiej. W rękach Dąbrowskiego stały się te właśnie sfery (z kilku zaledwie wyjątkami) niezastąpionym cementem ładu i karności w Legii...¹⁸

Czy nie należy tu także dopatrzeć się już bardzo osobistego wyznania samego Berenta? Słyszałem z ust pewnej wiekowej i czcigodnej damy deklamowane ze łzami w oczach wierszyki:

Ta krew z Turyngii rodem dalekiej
Dawno wyciekła wśród polskich dróg,
Żyliśmy razem długie dwa wieki
Pod ogniem armat splącając dług.
I znam tajniki sybirskich lochów
[.....]
Za moją kroplę niemieckiej krwi.

Pani ta nosiła polskie, szlacheckie nazwisko z męża, z domu niemieckie. Mówiła mi wiele razy, jak to się w dzieciństwie bawiła nieraz z Wackiem Berentem. Pochodziła z tego samego środowiska starego warszawskiego mieszczaństwa.¹⁹

Dąbrowski więc, nie Poniatowski. Inny wariant tradycji i legendy czasów rozbioru i wojen napoleońskich. Ma rację Andrzej Zahorski, gdy podkreśla odrębność w tej mierze Berenta od głównego nurtu literackiej tradycji: „Nie Napoleonowi, lecz Dąbrowskiemu poświęcił swój twórczy

¹⁷ J. G. Seume *Spaziergang nach Syrakus im Jahre 1802*, Leipzig, s. 330.

¹⁸ *Nurt*, t. 2, s. 61.

¹⁹ Mowa o Helenie Ciąglińskiej z domu Deike (1871–1956) — przyp. red.

wysiłek i jego opromienił legendą”.²⁰ A jaki był stosunek Berenta do postaci Napoleona? Nie ma chyba w ogóle u Berenta problemu Napoleona, bo określenie jego postawy wobec Cesarza jako krytycznej czy rozgoryczonej — co częste wśród piszących o eposie — byłoby już zbyt emocjonalne, zbyt by Berenta zbliżało do postaci mu z gruntu obcej, niemal obojętnej. Napoleon jest jak Alpy, jak Rewolucja Francuska, jak ówczesne ukształtowanie sił między mocarstwami — jest elementem mapy, europejskiej geografii politycznej. Niemal niczym więcej. Owszem, pewien emocjonalny stosunek złośliwości wobec mocarza, któremu jego ulubiony Dąbrowski tak długo musiał podlegać, pojawi się nagle, gdy Berent marginalnie, z racji rozważań o dalszych losach Mazurka Dąbrowskiego, wtrąci: „Czy gdziekolwiek na świecie grzmią dziś jeszcze tak codziennie wszystkie orkiestry i radia na cześć Bonaparty?”²¹ Refleksja dość naiwna: że niby skojarzenie nazwiska Dąbrowskiego z melodią urzędowo odgrywanego i reprodukowanego hymnu narodowego jest częstsze niż jakakolwiek forma popularnej trwałości nazwiska Bonaparte... Wątpliwy wywód, bo na przykład popularność ciastek „napoleonek” ma zasięg międzynarodowy, nazwisko zaś generała z refrenu polskiego hymnu państwowego mówi coś tylko dla Polaków.

W przytoczonym cytacie może zwrócić uwagę forma odmiany nazwiska Napoleona: „Bonaparty”. Żeńska odmiana. Tak u Berenta zawsze, z premedytacją. „Do Bonaparty” albo „do Buonaparty”, „przez Bonapartę”, i tak wszędzie. Co można wywodzić z tradycji wymowy żołnierskiej, popularnej, gdzie ze słuchu znana wersja francuska „Napoléon Bonaparte” przekształciła się w „Napoljon” i w „Bonapart”. Ale być może to refleks *Pana Tadeusza*, który jest w opowieściach biograficznych Berenta stałym punktem odwołań, odniesień, nawet pewnej dyskretnej polemiki, a to z racji podniosłych słów Jankiela równających Dąbrowskiego z Mesjaszem — Berent zarzuca Mickiewiczowi historyczną dowolność w tej scenie — otóż mógł z *Pana Tadeusza* zapamiętać sugestywną deklinację nazwiska Cesarza:

Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta! —
 A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta;
 Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
 Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.
 Obaczcież, co się stało w końcu z Bonapartą...
 [I 527–531]

Ale to mówi zacny Ryków, nie Polak, ma prawo odmieniać i błędnie, i z ruska (*Bonapárt, Bonapárta, s Bonapártom* itd.). Być może, że to

²⁰ A. Zahorski *Z dziejów legendy napoleońskiej w Polsce*, Warszawa 1971, s. 167.

²¹ *Nurt*, t. 2, s. 273.

jeszcze jeden przykład małej frasobliwości Berenta o historyczne realia, tym razem leksykalne. W każdym razie taki *usus* deklinacyjny nie służy podniesieniu rangi osoby deklinowanej. A w ogóle, godzi się chociażby sprawę poruszyć jednym zdaniem, analiza dokładna zabiegów stylizatorsko-leksykalnych i słowotwórstwa Berenta w opowieściach biograficznych doprowadziłaby, jestem pewien, do zupełnie precyzyjnych wniosków interpretacyjnych w dziedzinie tego, co tu najważniejsze: jak dowolnie postępuje Berent wobec historii, jak swobodnie „kreuje” sposób mówienia i myślenia swych bohaterów, jak bardzo zaciera granice między sobą a przeszłością (bo przecież *bios* historii, jak to Berent rozumie, składa się tak samo z niego samego, przeżywającego swą narodową, grupową przeszłość, jak z tamtej przeszłości do dziś działającej w potomkach; gdyby obok analizy lingwistycznej rzecz zacząć od określenia pozycji narratora i charakteru narracji, i tak by trzeba dojść do generalistów „duszy wspólnej” i jakiegoś osobliwego bergsonizmu historycznego, którym się Berent posługiwał).

W każdym razie żadna analiza opowieści biograficznych nie wskazałaby na postać Napoleona jako na problem ważny, chociażby negatywnie. Ani Berent Napoleona nie kontrował, ani z nim nie musiał sobie interpretacyjnie dawać rady. Jeżeli idzie o motywy i motywacje napoleońskiej polityki, to Berent — w rzadkich na ten temat wzmiankach — zdradza przeciętny poziom ignorancji. Nie ma najwidoczniej ochoty poświęcić więcej uwagi zjawisku postronnemu, obcemu. Jedynie rodzime refleksy kultu Napoleona i napoleonizmu wzbudzają jego krytyczną uwagę, ale tylko wówczas, gdy tamta legenda zasłania jego własną, gdy mu się mąci jego własny, „trzeci” wariant ciągłości rzeczy polskich. Egzotyce zawsze był skłonny przeciwstawić rodzimość. I tak z racji udziału Polaków w wojnie hiszpańskiej napisał z goryczą:

Ten najtragiczniejszy dla ówczesnego pokolenia rozdźwięk równoczesnej walki o wolność własną i o niewolę cudzą potrafi z czasem przewyciężyć romantyzm, który owładnie legendą o Legionach, wywyższając w niej wszystko, co chmurne, groźne, dalekie i — Napoleońskie.

Tam za Pirenejami — dantejskie *Infern*o po dwakroć burzoney *Saragossy* lub niedościgła brawura bohaterów *Somo-Sierry*; tu zaś w Polsce [...] — tu, pożałuj się Boże! *Radzymin, Rawa, Góra Kalwaria, Łęczycy*...²²

Stefan Treugutt

²² *Nurt*, t. 2, s. 298.